

JOANNA
KRUSZEWSKA



TAM, GDZIE
BĘDZIE LEPIEJ

FILIA

JOANNA
KRUSZEWSKA

TAM, GDZIE
BĘDZIE LEPIEJ

FILIA

*Mojej siostrze
Agnieszce...*

Rozdział 1

Trzeba ją było wołać kilkukrotnie, upominać. Zdawałoby się, że bez końca. Bo zawsze, już od małego, musiała wszystko zobaczyć na własne oczy. Groźny pies zerwał się kiedyś z łańcucha i rozglądał wściekle dookoła, szukając ofiary. Powoli podeszła prawie pod sam jego nos, bo musiała zobaczyć z bliska tę pianę, którą toczył z olbrzymiego pyska niemal bez przerwy. Musiała zajrzeć mu prosto w przekrwione oczy, jakby chciała sprawdzić, skąd bierze się wyjątkowa furia siejąca postrach w całej wsi. Ojciec w ostatniej chwili chwycił ją jak małego kociaka za kark, pamiętała dojmujące uczucie podduszienia, po czym przerzucił z łatwością przez płot. Gdyby nie zdążył, ostre zęby ogromnego psa mogłyby rozerwać ją na strzępy. Gdy już opadły emocje i przeszedł strach o dziecko, a ojciec, obejrzwawszy ją uważnie, stwierdził, że nic się nie stało, ulga powoli zaczęła się zamieniać w złość. Wreszcie zacisnął pięści, szybkim ruchem

wyciągnął pasek ze szlufek spodni i przełożywszy ją przez kolano, wymierzył jej kilka siarczystych razów. Miała popamiętać.

Pamiętała, przez jakiś czas.

Albo burza. Wszyscy chowali się po domach, uprzątnąwszy najpierw zagrody z co cenniejszych rzeczy. W pośpiechu zbierano porzucane po podwórku narzędzia, ściągano suszące się pranie. Kobiety zaganiały ptactwo, a później żegnały się lękliwie i pędziły ustawiać w oknach poświęcone gromnice, których delikatny płomień chybotał się lekko we wzmagającym wietrze, po czym nierzadko gasnął. Poprawiały zatknięte za ikony gałązki wierzby, sprawdzały, czy wianuszki splecione z rosnącego na odłogach ziele wiszą na gwoździach i krokwiach stodół.

Ona stała, jakby nie widząc tego, co się dookoła dzieje, jakby ktoś ją wyciął z tej rzeczywistości i wkleił do zupełnie innej. Zabrał z miejsca, w którym wszyscy biegali nerwowo, rozglądając się dookoła, sprawdzając dobytek i wznosząc oczy ku niebu z niemym błaganem o łaskę. Chciwie wciągała nozdrzami powietrze, które pachniało zupełnie inaczej, owszem, znajomą przed deszczem wilgocią, ale czymś jeszcze, czymś, co wydawało się na tyle ostre, że aż kłuło w nosie. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na czarne chmury przewalające się po niebie, próbowała wypatrzyć kopyta białych, ognistych koni. To one powoziły karocą, którą gnał po niebie nie kto inny, tylko sam święty Eliasz. Babcia tyle razy tuliła bliźniacz-

ki, trwożliwie patrząc podczas burz przez okno i powtarzała cicho:

– Oho. *Ilija* jedzie.

Tłumaczyła małym dziewczynkom, że te pioruny i grzmoty to nic innego jak kara za ludzkie grzechy. Błyskawice to iskry strzelające spod końskich kopyt. Jak więc ona mogła biegać za przygłupimi kurami, jak mogła znosić do domu pranie, pomagać matce, skoro trzeba było go wypatrzyć, tego świętego? A kto wie, może przemówić mu trochę do rozumu, bo co jak co, ale we wsi zbyt wielu grzeszników nie było, tak mama mówiła. Że dobrzy ludzie naokoło i że mają szczęście. Skoro więc szczęście, to po co sam święty się fatygował, żeby ich ukarać? Stała tak i patrzyła z nadzieją, że jako jedyna zobaczy białe rumaki, zamacha prorokowi dłonią, pokaże, że tutaj naprawdę nie ma czego szukać i niech boski gniew lepiej skieruje gdzie indziej.

Nikt jej wtedy w całym zamieszaniu nie zauważył, tak jakby stała się niewidzialna. Do momentu, gdy niebo nagle pojaśniało rozjarzonym blaskiem i piorun trafił w stojącą nieopodal sosnę. Donośny trzask nagle zaświdrował jej w uszach, przycisnęła mocno dłonie po obu stronach głowy, nie pomogło, bo dźwięk rozlegał się jakby pod nimi, przetaczał pod jej czołem, uderzał w skronie od środka, próbując się wydostać. Zupełnie nieświadomie otworzyła usta, próbowała się poruszyć, ale nogi wydawały się przyklejone do ziemi, każda ważyła na tyle dużo, że nie chciały się unieść

ani o milimetr, co dopiero mówić o zrobieniu jednego, choćby i niewielkiego kroku. Coś zatrzeszczało złowieszczo, z drzewa posypały się gałęzie i Marzena w ostatniej chwili przed runięciem na ziemię korony drzewa poczuła, że coś ją unosi, porywa ze sobą i ciągnie w bezpieczniejsze miejsce. W pierwszej chwili, otumaniona łoskotem, pomyślała, że to sam prorok schylił się po nią ze swej podniebnej karocy, że porywa ją jako tę, która nie bała się spojrzeć mu w oczy. Ale ramiona były znajome, zapach kojący, ojciec przycisnął ją mocno do piersi i zaniósł w bezpieczne progi domu.

Albo na przykład święty mikołaj, który wcale a wcale na świętego nie wyglądał. Rozwalony wielkim cielskiem na krześle od czasu do czasu śmiał się rubasznie, a gdy sadzano mu na tłustych kolanach kolejne onieśmiałone dzieci, łaskotał je brudnym, wielkim paluchem, żeby tylko zmazać z małych twarzy to przestraszone spojrzenie, żeby na zdjęciach utrwalił się radosny uśmiech. Przyglądała się jego zabiegom. Patrzyła, jak dłonie co jakiś czas przesuwają się po skołtunionej brodzie, czarny pasek wcina się mocno w tłusty brzuch, dzieląc go dokładnie na dwie wylewające się po obu stronach części. Nie mógł być prawdziwy. Ani też nie miał prawa być zastępcą świętego, którego broda lśniła bielą, oczy skrzyły się radośnie, bo wszystkie dzieci otrzymały wymarzone podarunki. Temu przypadł nakręcany samochodzik, innemu torba słodyczy, komuś jeszcze lalka. Ale nie taka

zwykła, tylko taka, co to jak się ją położy, to zamyka oczy. Jakby spała. Plastikowe rzęsy posłusznie kładły się na policzkach, rzucając na nie delikatny cień. Marzena bardzo chciałaby dostać taką lalkę, ale stojąc w kolejce do tego pana, co to ponoć spełniał najskrytsze dziecięce pragnienia, zaczęła wątpić w to, czy jest prawdziwy. Wyglądał raczej tak, jakby świętemu zrobił jakąś krzywdę, podszyl się pod niego i teraz udawał. Ona więc uznała za swój obowiązek obwieścić światu prawdę. Usadowiwszy się na jednym z kolan, popatrzyła przelotnie na siedzącą obok Basię i niewiele myśląc, pociągnęła za skołtunione kłaki brody. Spomiędzy zaciśniętych warg wydobyło się donośne warknięcie, chwilę po tym dołączyło do niego przekleństwo słyszane przez wszystkich zgromadzonych na „choince” w świetlicy. A później? Jak przez mgłę pamiętała żółte zęby, które wychyneły spomiędzy warg, jakby chciały ją kłapnąć, w niczym nie przypominały uśmiechu. Własne przerażenie, gdy przyciągnął ją mocno do siebie i zapytał, owiewając jej twarz cuchnącym oddechem.

– Ciekawa, ot co. Przez ciekawość to do piekła – wymamrotał wściekły, po czym zrzucił ją z kolan na podłogę i wyszedł.

Ryknęła płaczem, rodzice coś tam mówili, że prawdziwy Mikołaj jest bardzo zajęty, potrzebuje pomocników i to taki pomocnik właśnie. Od tamtej pory jednak na Boże Narodzenie nie cieszyła się jak pozostałe dzieci. Święta poprzedzał złowieszczy cień, który z roku na rok

zyskiwał coraz większe łapy, coraz brudniejsze paznokcie i bardziej śmierdzący oddech.

Wreszcie mama.

Ile razy Marzena budziła się przestraszona, bo czuła gdzieś blisko czyjąś obecność? I rzeczywiście. Oświetlona blaskiem księżycy twarz matki pochylała się nad nią, oczy zdawały się w zimnej poświacie jaśnieć jakimś wariackim światłem, bladość policzków wynurzała się z ciemności pokoju jak przerażające widmo. Matka nasłuchiwała, czasami przysuwała dłoń do ust córki, a ona nie mogła się pozbyć myśli, że jeszcze trochę, jeszcze kilka centymetrów, może nawet tylko jeden, a dłoń opadnie. Przycisnie się do otwartych przerażeniem warg, odetnie dopływ powietrza. Leżała jak skamieniała, przyglądała się przez przymknięte powieki matce, tłumaczyła samej sobie, że ona przecież tak zawsze, że musi sprawdzić, czy dzieciom nic nie jest. Że żyją, oddychają i mają się dobrze. Z biegiem lat Marzena nauczyła się liczyć, czy raczej Baśka powiedziała jej, że powinna policzyć do dziesięciu, no czasami może do dwudziestu, a matka pójdzie dalej. W tę swoją wędrówkę, która trwała przecież od momentu ich narodzin i trwać pewnie miała dalej. Że tak już musi być i nie ma w tym niczego strasznego. Że nad każdym z dzieci pochyli się, sprawdzi, czy oddech miarowo unosi klatkę piersiową, przykryje kołdrą. Wreszcie przy drzwiach odwróci się jeszcze, omiecie czujnym spojrzeniem pokój, westchnie kilka razy z ulgą i dopiero położy się z powrotem spać.

Marzena wiedziała. Nie rozumiała jednak i się tego po prostu po dziecięcemu bała.

Baśka nie.

Zawsze tak było. Jedna tworzyła sobie lęki i strachy, próbowała je oswoić, przyjrzeć im się z bliska. Ale z bliska okazywało się, że mają o wiele większe zęby, niż podpowiadała jej wyobraźnia. Że tak na dobrą sprawę nie miała pojęcia, z czym usiłuje się zmierzyć, dopóki nie spojrzała temu prosto w twarz, nie dotknęła, nie poczuła, że zamiast zwycięstwa ponosi sromotną porażkę.

Lazła w ogień. Tak mawiała babcia, ojciec, nawet matka, marszcząc w zatroskaniu brwi. O nią najbardziej się obawiała, o jej bezpieczeństwo. Z całej trójki ocalałych szczęśliwie dzieci to Marzena przysparzała jej największych trosk.

Druga natomiast od małego wykazywała niewytłumaczalną wręcz zachowawczość, zdrowy rozsądek, który nie charakteryzował czasami nawet dorosłych. Basia unikała problemów, stała milcząco z boku, czekała, aż miną, bo przecież wszystko mija. Woda w rzece płynie, czas leci, wystarczy tylko przeczekać. Kiedyś, gdy siedziały nad Narwią, zapytała siostrę:

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Co niby?

– No jak się trzeba zachowywać i w ogóle. – Marzena machnęła nogą, krople wody uniosły się niczym garść kryształów. Uformowały idealnie krągłe, różnych

rozmiarów kulki, złapały promień słońca, by zablęszczeć na chwilę, po czym z powrotem rozpląnęły się w rzece.

– Nie wiem przecież.

– Wiesz.

– Oj, marudzisz. Słucham mamy, babci, tyle z mojego wiedzenia.

– Czyli że jesteś posłuszna i to wszystko? – zdumiała się Marzena.

– Nie wiem – powtórzyła Basia w zamyśleniu. – Chyba tak.

Ale ciężko w to było uwierzyć. Bo nikt w sumie nie kazał jednej z bliźniaczek pilnować drugiej, nikt nie kazał jej niańczyć, a w tych najtrudniejszych momentach oswajać wyhodowane własnoręcznie strachy. A Baśka to robiła.

Gdy niebo zaczynały zasnuwać chmury, nagle znajdowała się blisko siostry, zajmowała jej czymś głowę i ręce. A to podtykała łubiankę i prowadziła do krzaków porzeczek, a to stawiała przed nią wiadro wiśni do wydryłowania albo sadzała obok siebie, wyciągała książkę i czytała na głos wybrane fragmenty. Gdy burza zaczynała pomrukiwać coraz głośniejsze, a Marzena zatykała sobie uszy, ciągnęła jej dłonie w dół i mówiła cicho:

– Licz. Od błyskawicy do uderzenia grzmotu.

– Po co?

– Licz. Zobaczysz, jak się burza oddala.

Błyskało. A one, trzymając się za ręce i ciasno spletając identyczne palce, liczyły razem. Dopiero gdy liczba

rosła, Marzena patrzyła siostrze w oczy i uśmiechała się z wdzięcznością.

Gdy idąc wsią, mijały błakającą się bez wyraźnego celu sforę, Barbara zawracała ją z drogi albo przesuwiała się tak, żeby oddzielić siostrę od bezpańskich psów.

I tak było ze wszystkim. Jakby Basia, przychodząc jako pierwsza na świat, zobowiązała się jednocześnie do otaczania opieką siostry, która miała być zawsze ten jeden niewielki krok w tyle.

Rozdział 2

Było, minęło, do cholery! Marzena rzuciła książką. Kartki, zamiast zafurkotać, wściekle niesione pędem powietrza, ścisnęły się mocno między okładką i książką, odbiwszy się od ściany z głuchym trzaskiem, wylądowała na podłodze. Żadnego echa.

Żadnych spektakularnych wywijasów w powietrzu.

Łopotu przewracanych stron.

Wstyd.

Zawstydziła się. Złość tak, jak zupełnie zniecka się pojawiła, tak samo nagle wyparowała, zastąpiona zmieszaniem. Marzena podniosła się z fotela, szybkim krokiem przemierzyła jasną sypialnię i ominąwszy palmę, schyliła się po książkę. Przez chwilę ważyła ją w dłoniach, wpatrywała w tytuł, wreszcie pokręciła głową i wróciła na poprzednie miejsce.

Wcześniej też tak się zdarzało. Potrafiła zgubić kilka linijek tekstu, bo myśli zaprzętało coś, co domagało się

bezwzględnej uwagi i niczym nie dawało się odepchnąć. Ona jednak uparcie wracała do zapamiętanego fragmentu, akapit wcześniej, nie więcej. Mobilizowała wszystkie siły, by wreszcie dać się pochłonąć bez reszty, bez ułamka myśli kołatającego uparcie po głowie.

Teraz było inaczej. Od momentu spotkania z siostrą, spotkania, na które przecież przygotowywała się od lat, tak jakby ktoś rozwalił zaporę na gromadzącej się fali wspomnień. Do tej pory mechanizmy działały bez zarzutu, blokowały najdrobniejszy przeciek, jeśli tylko zaczynał się przesączać przywołany zapachem lub dźwiękiem, Marzena bez najmniejszego problemu przeganiała go z głowy. Potrafiła.

Teraz. W zupełnie niewytłumaczalny sposób została tej umiejętności pozbawiona. Próbowала się czymś zająć, wymyślała sobie zajęcia, spotykała się z ludźmi, z którymi spotykać się wcale nie chciała, sterczała przy ogrodniku, gdy przycinał nieskazitelny żywopłot, gotowa wskazać palcem najdrobniejszą gałązkę, która odważyła się umknąć sekatorowi. Siadała w kuchni w pobliżu gotujących się potraw i uważnie studiowała ilość dodawanych przypraw, gotowa obsztorcować za zbyt dużą lub zbyt małą ilość soli, pieprzu czy curry. Wreszcie podążała za skrupulatnie sprzątającą Klaudyną w poszukiwaniu choćby pyłku, który absolutnie, pod żadnym pozorem nie miał prawa zostać na widoku.

To wszystko nie miało żadnego znaczenia. Niezależnie od tego, czym aktualnie była zajęta i w jakim stopniu,

w pewnym momencie po prostu odpływała, niesiona długo powstrzymywanymi obrazami z przeszłości, a przytomność wracała jej dopiero, gdy głowa należycie wypełniła się danym wspomnieniem lub gdy ktoś krzykiem domagał się uwagi.

Od drzwi dobiegło ciche chrząknięcie, Marzena odwróciła się od okna, zaciągnęła papierosem i wydmuchnęła dym w stronę Klaudyny, tak jakby chciała zapytać hardo: „No czego? Czego chcesz?”.

– Ja nie wiem, mnie nikt o zdanie nie pyta. I pytał pewnie nie będzie, ale na mój gust to coś z tym trzeba zrobić. – Machnęła z niezdecydowaniem po podłodze trzymanym w dłoniach mopem.

– Z podłogą? Dymem? Z czym twoim zdaniem trzeba coś wreszcie zrobić? – Marzena zgasiła papierosa w popielniczce, odstawiła ją na parapet i poprawiła spódnice.

Klaudyna westchnęła z rezygnacją.

– Pani wie.

– Tyle razy cię prosiłam, żebyś już dała sobie spokój z tą „panią”.

– Pan Mateusz nie lubi.

– A przepraszam, widzisz go gdzieś? Pojechał w cholerę, bo przecież dokładniej miejsca jego pobytu sprecyzować się nie da. Nie wiadomo też w jakim celu i – uniosła palec – nie mam pojęcia, kiedy wróci, bo odzywał się, czekaj, czekaj, dwa dni... Trzy dni temu? Tydzień? Nie pamiętam. W każdym razie daruj sobie te wszyst-

kie rzeczy, których p a n Mateusz nie lubi – westchnęła głęboko, rozstarła ramiona i spojrzała z nadzieją na Klaudynę. – Została ci chwila? Tak żeby usiąść i wypić małą kawę?

– Zaraz zrobię.

– Nie proszę cię, żebyś zrobiła, tylko pytam, czy się ze mną napijesz.

Klaudyna powoli pokiwała głową.

Wszystko robiła powoli, skrupulatnie, jakby z rozmysłem. Ze szczegółowym planem na każdy, nawet najmniejszy ruch.

Dom lśnił. We wszystkich powierzchniach można się było przegłądać. Czasami Marzena spacerowała po pokojach i przyglądała się swojej twarzy – wąskiej i czarnej w porcelanowej rzeźbie egipskiej głowy, malutkiej w złotych podstawach świeczników, obwisłej nieco i poznaczonej śladami ciemnych sęków w dębowym blacie stołu.

Gdy dziewczyna pojawiła się w ich domu, Mateusz stwierdził, że po pierwsze, żona uparła się, żeby wynajdywać pomoce o najdziwniejszych na świecie imionach. Po Gertrudzie, Ryszardzie, Telimienie i Cecylii przyszedł czas na Klaudynę, no doprawdy. Po drugie, według niego, tu ściszył głos do szeptu, oglądając się na uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju, w którym czekała kandydatka do zatrudnienia, dziewczyna niekoniecznie ma wszystko w porządku z głową. Zakręcił młynka w okolicy skroni.

– Widziałas jej oczy?

OGROMNY DOM, W KTÓRYM WSZYSTKO JEST
DOSKONAŁE. NIEOGRANICZONE MOŻLIWOŚCI
FINANSOWE. ŻYCIE GODNE POZAZDROSZCZENIA?



Tak można by było podsumować los, który przypadł
Marzenie w udziale. Wystarczy jednak zatrzymać się
na chwilę, przyrzeć uważniej, a na idyllicznym obrazie
wyraźnie ukazują się rysy. W domu brakuje kogoś, z kim
można by zamienić słowo. Za posiadane pieniądze nikt
nie jest w stanie kupić rzeczy najważniejszych, najbardziej
potrzebnych. Chociażby takich jak miłość czy szacunek.
Lista jednak jest o wiele dłuższa, a Marzena z każdym
dniem coraz bardziej dotkliwie odczuwa jej ciężar.



KONTYNUACJA LOSÓW BOHATERÓW POWIEŚCI
„POMIMO WSZYSTKO”.

FILIA

cena 49,90 zł

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8357-559-9



9 788383 575599